



Éric Baratay

Zwierzęta w okopach

Zapomniane historie

650 Officers and Enlisted Men of
Auxiliary Remount Depot No 326
Camp Cody, N.M.



wydawnictwo
w podwórku

Head Pose of

Informacja o książce

Wydawnictwo

Éric Baratay

Zwierzęta w okopach
Zapomniane historie

przełożyła Barbara Brzezicka



wydawnictwo
w podwórku

Autor

Éric Baratay (ur. 1960), francuski historyk i eseista, profesor historii najnowszej na uniwersytecie w Lyonie, specjalizuje się w badaniach nad historią zwierząt i ich relacji z ludźmi. Uznawany za autorytet w dziedzinie *animal studies*, której poświęcił liczne prace. Oprócz *Zwierząt w okopach* (*Bêtes des tranchées. Des vécus oubliées*, 2013) opublikował m.in. *La corrida* (1995), *L'église et l'animal* (1996), *Zoos. Histoire des jardins zoologiques en occident (XVI^e–XX^e)* (1998), *Et l'homme créa l'animal. Histoire d'une condition* (2003), *Bêtes de somme. Des animaux au service des hommes* (2011), *La société des animaux, de la Révolution à la Libération* (2008), *Bêtes de somme. Des animaux au service des hommes* (2011), *Le Point de vue animal, une autre version de l'histoire* (2012, wydanie polskie: *Zwierzęcy punkt widzenia. Inna wersja historii*, 2014), *Des bêtes et des dieux, les animaux dans les religions* (2015).

W 2014 roku książka *Zwierzęta w okopach. Zapomniane historie* otrzymała nagrodę Prix Jacques Lacroix, przyznaną przez Akademię Francuską, oraz Grand Prix Clément Bressou od Francuskiej Akademii Weterynaryjnej.

Opis książki

Wydawnictwo w Podwórku przedstawia książkę Érica Barataya *Zwierzęta w okopach. Zapomniane historie*.

„W niniejszej książce – pisze Éric Baratay we wstępie – stawiam przeżycia zwierząt w centrum swoich rozważań, odwracając metody, analizy i strukturę narracji. Chodzi o to, żeby lepiej poznać i zrozumieć te żywe istoty o nieraz wybitnych zdolnościach, dużo większych niż mamy w zwyczaju im przypisywać, a często również o wyraźnych osobowościach, co podkreśla dzisiejsza nauka. Po otwarciu perspektywy i decentralizacji antropologicznej, dzięki którym zaczęliśmy interesować się innymi istotami ludzkimi – od kobiet po kultury niezachodnie – nadszedł czas na rozwinięcie zoologiczne, skłaniające do wzięcia pod uwagę innych gatunków, i na rozszerzenie pojęcia historii, która nie może być już nauką o ludziach w czasie, ale co najmniej nauką o istotach żywych w czasie, opisującą również ich punkt widzenia. Książka ta sytuuje się zatem w punkcie spotkania dwóch historiografii: tej, która zaczyna budować historię zwierząt, i tej wojennej, która chce opisywać historię wszystkich aktorów wojny, żołnierzy i cywilów, mężczyzn i kobiet i dzieci, ludzi Zachodu i nie-Zachodu. Do tego należą: ludzi i zwierząt”.

Parametry techniczne

objętość: 368 stron, format 145×220 mm,
oprawa broszurowa, ilustracje czarno-białe
ISBN 978-83-64134-13-5
cena 46 zł

Spis treści

Wstęp. Odnaleźć „czworonożnych żołnierzy”

Część I. Zwerbowane wbrew woli

Rozdział 1. Stres rozstań

Lęki koniowatych / Różne losy psów / Gołębie bardziej spokojne

Rozdział 2. Podróże do kresu piekła

Udręki transportu / Trudne rejsy przez Atlantyk / Francuska gehenna /
Podróż psów

Rozdział 3. Wymuszona nauka maszerowania

Elastyczność psów / Aklimatyzacja gołębi / Adaptacja koniowatych

Część II. Towarzysze broni

Rozdział 4. Wierzchowce do dyspozycji

1914 – w nieustannym biegu / Oczekiwanie na tyłach / Parady odsuniętych
od walki

Rozdział 5. Ofiarne zwierzęta pociągowe

Obciążone muły i osły / Harówka psów / Wyczerpująca praca koni

Rozdział 6. Oddani pomocnicy

Względne niepowodzenie psów ratowniczych / Umiarkowane sukcesy psów
wartowniczych / Sukces psów łącznikowych / Triumf gołębi pocztowych

Rozdział 7. Zakwaterowanie i wyżywienie... w miarę możliwości

Bloto na zewnątrz i wiatr w stajniach / Od głodu do sytości i z powrotem

Rozdział 8. Między uległością a sprzeciwem

Uległość / Opór / Strach / Współpraca

Część III. Widzowie na froncie

Rozdział 9. Cierpienia zwierząt gospodarskich

Zwierzęta porzucone / Cele i ofiary / Stada złożone w ofierze

Rozdział 10. Opór dzikich zwierząt

Przystosowanie do wojny / Symbole życia / Uciec przed rzezią

Rozdział 11. Maskotki pierzaste i kudłate

Oswajanie dzikich zwierząt / Adopcje zwierząt domowych / Oficjalne maskotki / Bezpańskie koty / Znalezione i przywiezione psy

Rozdział 12. Beneficjenci wojny

Chmary much / Stada szczurów / Chmary „robactwa” / Życ jak zwierzęta

Część IV. Żywy męczenników

Rozdział 13. Cierpienia

Wycieńczenie / Choroby / Rany

Rozdział 14. Zwolnienie ze służby

Ewakuacje / Leczone lepiej lub gorzej / Operacje / Zakres opieki

Rozdział 15. Końcówki

Oblicza śmierci / Ciężar poświęcenia / Emocje ludzi / Zejście ze służby

Podsumowanie. Od wdzięczności do pamięci

Przypisy

Bibliografia

Indeks nazwisk i imion zwierząt

Fragmety tekstu

Rozdział 3. Wymuszona nauka maszerowania

17. Rano umieszczenie psów w kolejnym schronieniu. Po południu w Matzlendorf z psami, przyjęcie wózków do ciągnięcia.
18. Rano podział na brygady strzelców [...] i niezwłoczne ustalenie zaprzęgów do wózków.
19. Marsz z wszystkimi psami z Dornbach do Neuwaldegg.

Stephan Hinterholzer, *Dziennik*, sierpień 1916

Elastyczność psów

Po przybyciu do Hawru psy nie muszą uczyć się ciągnięcia sań, muszą jednak przyzwyczaić się do nowych maszerów, których dobrze odróżniają od starych i których rozpoznają po ich kształtach, zapachach i odgłosach. Muszą także wytworzyć więź z żołnierzami, którzy nie mają pojęcia o tej szczególnej rasie, a czasem nawet o psach w ogóle, i którzy wszystkiego dopiero się uczą. Żeby nie wprowadzać chaosu i zachować wyuczone reakcje psów – w chwili gdy muszą się one przecieć przyzwyczaić do nowego otoczenia, jak również dlatego że potrzebują dystansu do ludzi, a więc z trudem poddają się tresurze – rozkazy wydaje im się w języku angielskim i niezwłocznie uczy się tego żołnierz. Podczas pierwszych manewrów zaprzęgania Scotty Allan stara się narzucić twardą dyscyplinę, co ma rekompensować brak doświadczenia. „Każdego psa, który warczał albo wprowadzał zamęt, okazując nerwowość, odprowadzano od razu do psiarni i z powrotem uwiązywano. Psy były tak wrażliwe na to poniżenie, że metoda okazała się skuteczna”. Z wyjątkiem momentu, kiedy pewnego dnia, pod nieobecność Szkota, zwierzęta wdały się w powszechną bójkę, co

wymusiło decyzję, aby grupować je w zaprzęgi po siedem psów – trzy pary i lider, zamiast dziewięciu jak w Ameryce. Miało to spowolnić zaprzęgi i ułatwić powożenie uczącym się maszerom. Trzymano się tego w Wogezach, co widać na fotografiach, zapewne ze względu na szkolenie nieustannie zmieniających się maszerów, kiedy Scotty Allan już wyjechał. Podczas roztopów wiosną 1916 roku psy przyzwyczajają się do ciągnięcia sań ustawionych na szynach, a więc do trzymania się pośrodku torów i dokładnego wchodzenia w łuki. Na fotografiach widzimy, że szybko dołączają do nich owczarki niemieckie, rekrutowane w celu uzupełnienia strat, ale nigdy z nimi niemieszane, ze względu na różnicę temperamentów i silny instynkt stadny przybyszów z Alaski. Miejscowe psy najczęściej pracują w piątkach i ciągną mniejsze sianie, nie mają bowiem budowy i przygotowania do wspólnego ciągnięcia z jednakową prędkością, do podążania za liderem czy też do odpowiadania do rozkazy ludzi.

Szkolenie w Wogezach obejmuje zaledwie kilka tuzinów par, w przeciwieństwie do strony włoskiej i austro-węgierskiej, gdzie zaprzęgów jest więcej. Z braku źródeł niewiele wiemy o treningu u Włochów, pozostawionego pojedynczym inicjatywom lokalnym, na przykład kapitanowi Carlowi Mazzolemu, który na zboczach Jof di Miezegnot „trzyma w chacie około 20 psów, żeby uczyć je ciągnięcia sań”. Były to zwierzęta rekrutowane na miejscu spośród psów porzuconych przez cywili po wybuchu wojny. Więcej informacji mamy na temat Austro-Węgier, a to za sprawą oficjalnych instrukcji, fotografii oraz pamiątek. Psy rekrutowane do zaprzęgów gromadzi się w ośrodku szkoleniowym w Wiedniu, kwateruje w budach wielkości 1–3 m², z wybiegiem, pojedynczo lub dwójkami, żeby mogły wytworzyć relacje mające ułatwić pracę w parach, co stanowi priorytet we wspólnym, harmonijnym ciągnięciu, taki sam jak wypełnianie rozkazów. Zwierzęta przechodzą kolejne fazy szkolenia, pojedynczo, a potem parami lub czwórkami, następnie z wózkiem i poza terenem ośrodka. Jednocześnie uczą się zakładania uprzęży, a czasem kagańca, czego wiele z nich nigdy wcześniej nie przeżyło, a także regularnych kąpieeli – prozdrowotnej i higienicznej praktyki, która zyskuje popularność wśród

mieszczkańskich psów do towarzystwa, jednak nieznana jest psom niższych warstw i prawdopodobnie zaburza ich tożsamość oraz sygnały społeczne przekazywane za pomocą zapachu. Dwu-, trzymiesięczne szkolenia są równie potrzebne początkującym maszerom, którzy w tamtych czasach rzadko mieli tak bliskie relacje z psami, ponieważ stosunek ludzi do psów był wówczas chłodniejszy i bardziej zdystansowany niż obecnie, od czego wyjątek stanowili maszerzy cywilni. Podobnie dzieje się po stronie psów: wiele zwierząt ciągnących wózki musiało się szybko zaadaptować, nawet te, które pracowały już wcześniej, dostosowując siłę mięśni do wymaganego od nich wysiłku, przyzwyczajając układ krążeniowo-oddechowy, zwiększając przyswajanie tlenu i odporność na zmęczenie. Bez wątplenia najtrudniej było jednak psom do towarzystwa i żyjącym na wolności, nieprzyzwyczajonym do tego rodzaju porządku i wysiłku.

Tak właśnie było z psami zarekwirowanymi i zgromadzonymi we Francji i Wielkiej Brytanii. Edwin Richardson, brytyjski organizator szkoleń, dostrzega ich kondycję po przybyciu, niewątpliwie zbliżoną do kondycji psów francuskich z tego samego źródła. Są skołowane, poruszone lub przygnębione, jeśli utraciły swojego pana, a zestresowane, jeśli schwytano je na wolności. „Ten stan ducha można porównać do ucznia wrzuconego w mury wielkiej szkoły: krótkotrwałe oszołomienie i czasem tęsknota za domem – ale kiedy przekonywały się, że otaczają je łagodne, pełne otuchy głosy i że czekają na nie wspaniałe posiłki, szybko zaczynały się czuć jak w domu. Co więcej, życie oferowało im ciekawe towarzystwo innych psów, a także zupełnie nowe doświadczenie czegoś, co wydawało się uczeniem nowego rodzaju zabawy”. Z kolei po stronie francuskiej psy musiały dłużej odczuwać niepokój, ponieważ umieszczano je w osobnych, prowizorycznych budach, karmiono namoczonymi resztkami chleba, jak często w cywilu, co nie było atrakcyjnym posiłkiem, a następnie poddawano surowej tresurze.

Po obu stronach kanału La Manche psy spotykają się z odmiennymi koncepcjami, a co za tym idzie – z dwoma różnymi porządkami: Brytyjczycy chcą tworzyć relacje i pozyskiwać psy do współpracy, Fran-

cuzi narzucają im funkcje i wydają rozkazy. W trakcie gier-ćwiczeń każdy brytyjski pies może pokazać, co lubi i co mu najbardziej odpowiada. „Każdy rekrut – pisze Richardson – był uważnie sprawdzany w trzech różnych zadaniach: posłańca, wartownika i strażnika. Niektóre nie radziły sobie z jednym, ale potrafiły wykonać inne, wszystkie jednak miały okazję wykazać swego rodzaju inicjatywę”. Z kolei we Francji psy przechodzą najpierw jednolitą „tresurę”, podczas której mają nauczyć się „bezwzględne go posłuszeństwa”, szczególnie siadania i warowania na pierwszy rozkaz, milczenia i opanowania strachu przed wybuchami. Mimo że psy słyszą cztery razy lepiej niż ludzie, a wysoki poziom hałasu sprawia im fizyczny ból, tresura polegała albo na nieustannym słuchaniu dźwięków detonacji, albo na kojarzeniu ich z pojawieniem się posiłku.

Różnicę w podejściu widać też w doborze ludzi. Dowództwo francuskie rekrutuje osoby zawodowo zajmujące się psami (łowczych, pasterzy...) lub miłośników psów, żeby pilnowali psiarni i tresowali zwierzęta, następnie zaś powierza je żołnierzom kulawym lub zwolnionym ze służby na froncie (zwanym „dekownikami”). Z kolei Brytyjczycy odrzucają takie rozwiązania: „moje doświadczenie – pisze Richardson – wskazuje na to, że wielu ludzi, którzy faktycznie pracowali z psami przez całe życie, niekoniecznie najlepiej sprawdzało się w tej szczególnej pracy. [...] Między psami a ich opiekunem musi istnieć całkowite zaufanie i przywiązanie, a człowiek, którego jedynym pomysłem na kontrolowanie jest strach, okazuje się bezużyteczny. Odkryłem, że wielu ludzi, których uważano za ekspertów od psów, nie przejawiało wystarczającego współczucia i zbyt często postrzegało zwierzęta jak maszyny. Nie poświęcili dostatecznej uwagi psychologii swoich podopiecznych. Inny rodzaj ludzi, którego należy unikać, to tacy, którzy trenowali lub hodowali w życiu jakieś psy i w związku z tym uważają, że wiedzą wszystko, co należy wiedzieć. [...] Opiekunowie z największymi sukcesami, czyli ci, którzy osiągnęli najlepsze rezultaty z psami w terenie i byli też najbardziej pomocni w czasie szkolenia, to ci, którzy nie mieli wcześniej żadnego szczególnego doświadczenia z psami, ale odczuwali naturalne zamiłowanie do zwierząt”.

Ta indywidualizacja ludzi idzie w parze z indywidualizacją psów, ponieważ muszą oni wspólnie wytworzyć spersonalizowane relacje, podczas gdy – po stronie francuskiej – narzucanie psom ludzkiego porządku pozwala, jak się zdaje, na bardziej zdystansowaną rekrutację.

Niemniej jednak psy po obu stronach okazują się zbyt słabe fizycznie, brakuje im energii, cierpią na stępienie węchu i słuchu... Zdarzają się też osobniki krnąbrne z natury, odmawiające wypełniania ludzkich poleceń, a także porywcze i skłonne do bójek z innymi. Oddaje się je właścicielom albo – jeśli tych nie ma – wysyła do rakarni, gdzie zostają zabite! Inne poddawane są wszędzie różnego rodzaju szkoleniom, zależnie od przeznaczenia, czy to w tych samych psiarniach, czy też w różnych, w zależności od hierarchii, której organizację tutaj pominę.

Oprócz psów pociągowych, wspomnianych powyżej, szkoli się też psy, które mają szukać rannych – po obu stronach wykorzystuje się do tego podobne metody, zapoczątkowane przed wojną w krajach Europy kontynentalnej. Psy ratownicze uczą się najpierw wyruszać na poszukiwania, aportować, podawać przedmioty na rozkaz, następnie zaś koncentrować się na kształtach leżących ludzi, których udają manekiny lub wolontariusze symulujący rany. Psy uczą się wyszukiwać rannych, korzystając z szerokiego pola widzenia, między 250° a 280°, zależnie od tego, czy mają płaski czy wydłużony pysk; uczą się rozpoznawać ich na podstawie koloru munduru, w szczególności czapek, używając do tego ostrego wzroku, który pozwala im bez trudu rozróżniać kształty, szczególnie z bliska, a także dobrej percepcji kolorów, przesuniętej w stronę zieleni i błękitu, ale zróżnicowanej zależnie od odbijanego światła. Następnie tresuje się je, aby dały rannym czas na skorzystanie z materiałów umieszczonych w torbach, które – w armiach państw centralnych – noszą po bokach. Potem mają chwycić czapkę lub jakiś przedmiot i zanieść go do sztabu, by następnie doprowadzić na miejsce pielęgniarzy, w czym pomaga im pamięć przestrzenna i rozpoznawanie drogi węchem, rozwiniętym w różnym stopniu zależnie od rasy, a zwłaszcza – od osobnika. Wreszcie, psy pracują w nocy, wspomagając się lepszym od ludzkiego widzeniem w ciemności, które dzięki większemu rozszerzeniu źrenicy i dwa razy większej

wrażliwości siatkówki pozwala im dostrzec nawet bardzo słabe światło. Zwierzęta opanowują to wszystko dopiero po wielu ćwiczeniach, w których stopniowo zwiększa się odległości i komplikuje zadania oraz przedmioty do rozróżnienia. Z tym ostatnim przestają sobie radzić w 1915 roku, z powodu ujednolicenia mundurów i zastąpienia czapek metalowymi hełmami o podobnych kolorach i kształtach. Po stronie austro-węgierskiej psy uczą się rozróżniać hełmy, biorąc je do pyska, by oszacować ich ciężar, jednak ich oceny nigdy nie mogą być pewne, ponieważ różnice w wadze hełmów są niewielkie, a zdolność psów do odróżniania rzeczy w ten sposób wydaje się mniej rozwinięta niż inne zdolności.

Inne psy, począwszy od lat 1915–1916, uczą się stać na warcie przy okopach, zwłaszcza po stronie francuskiej i niemieckiej. W różnych miejscach na tyłach frontu, szczególnie w Wogezach, gdzie lasy utrudniają patrolowanie i obserwację, pierwsze psy ćwiczą się w rozpoznawaniu w ciemności symulowanych patroli wroga, z 50, a potem ze 100 i 200 metrów. Wykorzystują do tego zdolności słuchowe, które pozwalają im rozróżnić niskie i wysokie częstotliwości i niemal identyczne dźwięki, a także – zdolności węchowe, dzięki którym wyczuwają nawet bardzo rozrzedzone zapachy, jeszcze bardzo odległe, za sprawą błony śluzowej dwudziestokrotnie bardziej rozwiniętej niż u człowieka, większej liczby bardziej wrażliwych receptorów i czterdziestokrotnie większej liczby wyspecjalizowanych neuronów. Psy o wydłużonym pysku i wysoko postawionych uszach, którymi mogą obracać, wykazują te zdolności w jeszcze większym stopniu. W tym samym czasie za pomocą systemu kar i nagród uczą się nie szczekać, tylko cicho warczeć, kiedy chcą ostrzec swoich opiekunów. Lokalny sukces w tej kwestii zachęca innych do praktykowania tego rodzaju tresury w psiarniach na tyłach frontu, jednak pojawia się tu znaczna trudność: psy uczone są, żeby broniły i strzegły pewnego terytorium, a przecież w miarę przesuwania się oddziałów nieustannie trzeba zmieniać miejsce. W różnych krajach stosowano w tej sprawie różne rozwiązania. We Francji tresowany pies jest najpierw przywiązany do budy z podwójnym wejściem, żeby uruchomić jego instynkt

terytorialny i zachęcić go do pilnowania. Następnie z jednej strony drażniony jest przez człowieka przebranego za Niemca, z drugiej zaś nakłaniany przez tresera, by warczał bez szczekania. Kiedy umie już to robić, buda zostaje przekształcona w taki sposób, aby pies mógł widzieć napastnika tylko przez szparę. Wszystko to przenosi się do okopu bez dachu, wskutek czego zwierzę myśli, że jest u siebie, i staje się czujne niezależnie od miejsca przebywania, zgodnie z warunkowaniem poprzez skojarzenia.

Po stronie brytyjskiej szkolenie nie polega na warunkowaniu, lecz na tworzeniu par pies–wartownik. Człowiek zachęca zwierzę do zaangażowania w tę relację: razem stoją na czatach podczas symulowanych nocnych ataków, aby zwierzę mogło jak najwcześniej powiadomić o niebezpieczeństwie. Czuje się ono wówczas uczestnikiem i podejmuje współpracę: „pies uświadamia sobie, że oczekuje się od niego czujności, a jego naturalnie wyostrzone zmysły wspaniale się rozwijają. Szkolenie przebiega powoli, ponieważ nie można przeprowadzić więcej niż dwóch czy trzech ataków jednej nocy, a treser musi mieć wiele cierpliwości i zrozumienia”, pisze Richardson. Dlatego też Brytyjczycy szkolą znacznie mniej psów wartowniczych niż Niemcy czy Francuzi, opierają się też powszechnej wśród tych ostatnich pokusie zastępowania psami żołnierzy. Psy bowiem mogą ich jedynie wspomagać, a żołnierze muszą być dobrze wyszkoleni, żeby umieli obserwować z bliska zwierzęta, zwłaszcza kiedy zastygają, napinają mięśnie, jeżą sierść, zanim jeszcze zaczną warczeć. To wszystko zakłada rozumienie ich mowy ciała i emocji, o których szczególnie pisał Richardson, a które dzisiaj odkrywamy na nowo. Psy z kolei bazują na postrzeganiu gestów, mimiki i emocji ludzi, żeby pojąć, co powinny zrobić; tak więc komunikacja zachodzi poprzez dzielenie się emocjami, czyli poprzez wzajemne zrozumienie jednych przez drugich, a nie przez rozkazy, które jedni drugim wydają.

To wyjaśnia, dlaczego Brytyjczycy nie odróżniają ściśle działań wartowniczych od patrolowych – wyłączwszy konieczność czołgania się w tym drugim wypadku, czego zresztą „psy z łatwością się uczą”, jak pisze Paul Ménégin – ponieważ również tutaj pies pracuje w due-

cie z człowiekiem i nawet jeśli idzie przodem, to w małej odległości. Francuzi przeciwnie, uważają to szkolenie za bardziej skomplikowane, gdyż pies trzymany na długiej smyczy musi nauczyć się iść przed patrolem, sygnalizować obecność wroga zwróceniem głowy w jego kierunku, a następnie obrócić ją ku swojemu przewodnikowi z cichym warczeniem i podejść do niego. W tym celu psa przyzwyczajają się najpierw do biegania tam i z powrotem między dwiema chorągiewkami na ziemi i siadania na nich, następnie do szukania jednej z nich, ukrytej wraz z psią karmą, wracania do drugiej, warczenia, kiedy udawany Niemiec zbliża się do karmy, i powrotu, również z warczeniem, a wreszcie – do wyruszania na poszukiwanie wroga, mimo że nie ma karmy do znalezienia, i powrotu z warczeniem, żeby dostać nagrodę. To warunkowanie pozwala ludziom pozostać z tyłu, a także łatwiej się wymieniać na stanowiskach, ponieważ duety mają tutaj niewielkie znaczenie.

Podobne warunkowanie przechodzą we Francji psy przenoszące wiadomości między dwoma punktami. Każdy pies, stymulowany nagrodami, najpierw uczy się biegać od jednej chorągiewki do drugiej, coraz lepiej ukrytej i coraz bardziej oddalonej – aż do trzech, a nawet pięciu kilometrów, zależnie od osobnika. Następnie, już na froncie, uczy się zauważać chorągiewkę wbitą w ziemię w jednym miejscu, iść w inne miejsce, prowadzony na smyczy przez przewodnika, po czym, kiedy ten wbije swoją chorągiewkę i wyda rozkaz – wracać do pierwszej. „Najważniejszą zaletą tego systemu – pisze Xavier Granier – [...] jest to, że zwierzę, działające jak maszyna, można powierzyć dowolnemu przewodnikowi, nawet bez szczególnej wiedzy, jeśli tylko ma przy sobie chorągiewkę”. Na tej samej zasadzie szkoli się psy pracujące w zaopatrzeniu – wyposażone w juki uczą się one ruszać samodzielnie, bez przewodnika, do chorągiewki, którą widzą w odległości kilkudziesięciu lub kilkuset metrów. Psy przywiązują się do tych chorągiewek i do ich poszukiwania, nie zaś do ludzi.

W wypadku psa brytyjskiego rzeczy przebiegają dokładnie na odwrot: oddziela się go od opiekuna, który pozostaje na stanowisku, a nieznaną żołnierz zabiera zwierzę wiele kilometrów dalej. Kiedy tylko pies zostanie wypuszczony, natychmiast rusza na poszukiwanie

i wraca do miejsca docelowego. Ten proces zakłada wytworzenie silnej więzi emocjonalnej z człowiekiem, do którego zwierzę musi chcieć wrócić. W tym celu szkolenie należy prowadzić łagodnie i cierpliwie: „W żadnym wypadku nie należy traktować psa brutalnie czy ostro się do niego zwracać. [...] Jeśli podczas szkolenia ktokolwiek wykazuje brutalność lub nie jest wystarczająco wyrozumiały w stosunku do psów, powinien zostać natychmiast zwolniony” – pisze Richardson. Pies uczy się także pokonywać coraz liczniejsze przeszkody między sobą a swoim panem, coraz bardziej oddalonym, opanowywać własną wrażliwość słuchową i emocje podczas wystrzałów i próbnych eksplozji: „za wszelką cenę, w taki czy inny sposób, trzeba doprowadzić do tego, żeby pies przezwyciężył te trudności [...]. Wybór należy do psa, ale przyjąć musi”.

Następnie, podobnie jak w innych armiach, psy uczą się z pewnością orientacji w terenie, a czynią to – jak niedawno wykazano – rejestrując i zapamiętując charakter i usytuowanie swojego schronienia dzięki miejscowym zapachom. Być może korzystają również ze wzroku i dotyku podczas rozpoznawania rzeźby terenu, rodzaju ziemi, ruchów powietrza – wszystkie te zdolności są nam dobrze znane i wiemy, w jakim stopniu zostały rozwinięte, jednak często lekceważymy je w interpretacjach. Pies powinien wykorzystać te same zdolności, żeby ustalić i zapamiętać punkty orientacyjne podczas podróży, które służą mu potem do orientacji i samodzielnego powrotu tą samą drogą. Wyczuwa wówczas swoje zapachy i zapachy pozostawione przez żołnierzy, a coraz słabsze (to znaczy coraz starsze) ślady pozwalają mu na powrót w czasie i przestrzeni. Uczy się pokonywać przeszkody zgodnie ze swoim temperamentem oraz możliwościami fizycznymi, które zależą od rasy i/lub uwarunkowań indywidualnych. Duże psy przeskakują przez przeszkody, małe prześlizgują się pod nimi, a te najsprytniejsze, najczęściej owczarki, omijają je i przybiegają pierwsze. Pies jest gotowy zazwyczaj po dwóch lub trzech miesiącach. Cała procedura opiera się na jego inteligencji, inicjatywie, umiejętności adaptacji i przywiązaniu... a zatem na poziomie stresu, którego doświadczył wskutek rozstania ze swoim przewodnikiem!

Zarówno we Francji, jak i w Wielkiej Brytanii psy te są posłańcami przenoszącymi wiadomości tylko w jedną stronę, a nie łącznikami biegającymi tam i z powrotem, ponieważ taką tresurę Francuzi uważają za zbyt trudną i czasochłonną, Brytyjczycy zaś – za łatwą, lecz wymagającą zbyt wielu ludzi, ponieważ za każdym razem potrzeba by dwóch opiekunów, po jednym w każdym punkcie. Psy łącznikowe stosowano jednak często w Niemczech, dzięki dużej dostępności psów i ustalonej procedurze szkolenia. Każdy pies łącznikowy przywiązuje się do dwóch panów, którzy muszą być cierpliwi i łagodni. Powinni wiele razy wspólnie przejść daną trasę, stopniowo coraz dłuższą, a następnie zwierzę uczy się samo pokonywać tę trasę od jednego pana do drugiego, najlepiej, jeśli może przy tym widzieć każdego z nich, żeby nie zostać po jednej ze stron. Jego praca polega zatem bardziej na regularnym kursowaniu między dwoma dobrze oznaczonymi punktami niż na pokonywaniu tras wynikających z nagłej potrzeby, jak u Brytyjczyków i Francuzów, a szkolenie łączy metodę przywiązania, stosowaną przez tych pierwszych, z metodą warunkowania, używaną przez drugich.

Wszystko to pokazuje wielką zdolność adaptacji psów, które odpowiadają na każde wezwanie i dają powody do wiary, że są właśnie takie, jak postrzegają ich ludzie! Pomiedzy narodami i szkoleniowcami istnieją bowiem ogromne różnice, szczególnie między Francuzami, którzy wyobrażają sobie psy jako instynktowne maszyny, posiadające pewne wrodzone zdolności, ale podatne na programowanie, a ich zróżnicowanie przypisują rasom – oraz Brytyjczykami, którzy postrzegają je jako istoty mające własną psychikę, dające się przekonać lub skłonić do rozwoju poprzez współpracę z ludźmi, a zróżnicowanie przypisują cechom jednostkowym. To ci drudzy znacznie lepiej opisują życie codzienne szkolonych osobników, nawet jeśli, próbując ukazać złożoność psiej natury, popadają w antropomorfizm. Z kolei Francuzi uprawiają antropocentryzm i ograniczają wspólnotę zdolności z innymi istotami żywymi. Richardson pisze o tym, że brytyjskie psy przechodzą podczas szkolenia przez różne fazy, od chęci uczestnictwa do odmowy, od zrozumienia do nieudolności, co spr-

wia, że trudno jest ocenić ich przyszłe wyniki. Tak jest w wypadku Tweeda, owczarka, który okazał się „niezwykle użyteczny”, mimo że „jego szkolenie było nieco dłuższe niż zazwyczaj ze względu na jego niezwykle wrażliwą naturę. Co prawda został on niemalże odrzucony i tylko dzięki naleganiom pani Richardson, która pod nieśmiałością Tweeda dostrzegła jego wspaniały charakter, nie oddalono go i kontynuowano szkolenie. Cierpliwość i delikatność w obejściu doprowadziły w końcu do przezwyciężenia jego niechęci i bojaźliwości, a mądre prowadzenie Tweeda w terenie przez jego opiekuna pozwoliło psu osiągnąć bardzo wysoki poziom”.

Wiele psów czuje się zachęconych emocjonalnymi reakcjami przewodników oraz współzawodnictwem i rywalizacją z innymi psami. Psy pierwszej klasy, czyli te w danym momencie najlepiej wyszkolone, regularnie witają ćwiczenia nowych rekrutów zniecierpliwionym szczeraniem i osiągają najlepsze wyniki, gdy ćwiczą w obecności żołnierzy! Brytyjskie zainteresowanie indywidualnościami psów wynika również stąd, że ich psy nie mają żadnych innych zadań. Francuzi odmiennie – nie zwracają większej uwagi na jednostki, nawet jeśli niektóre indywidualności psów same się narzucają, jak w wypadku pewnego francuskiego spaniela, uznanego za zbyt małego, który jednak okazał się znakomitym psem łącznikowym. Jak pisze Mégnin, obserwowano wiele psów ponoszących porażki, ale adaptowano je wówczas na psy pociągowe lub zaopatrzeniowe, co nigdy nie zdarzało się u Brytyjczyków.

Potrzeby wojny zderzają się też z rzeczywistością. Francuzi, pozbawieni często psów rasowych, muszą radzić sobie z kundlami i ich indywidualnymi różnicami temperamentu; Brytyjczycy, żeby uniknąć spowolnień i niepowodzeń związanych z podejściem indywidualnym, opierają się na psach rasowych, osobnikach bardziej do siebie podobnych, a więc o bardziej przewidywalnych wynikach. Tak więc do funkcji posłańca najczęściej szuka się terierów airedale, irlandzkich i walijskich, ponieważ są one jednocześnie niezależne i chętne do współpracy, inteligentne i wykazujące inicjatywę, a także stałe w wykonywaniu obowiązków. Następnie mamy collie i owczarki z Highlands, które „są czasem bardziej spięte, co sprawia, że ich szkolenie

trwa dłużej i wymaga większej cierpliwości, ale jeśli uda się pokonać ich skłonność do nerwowości, okazują się naturalnie inteligentne, sumienne i pracowite”. Znacznie bardziej niż pudle, foksteriery, retrievery, ogary i charty, które nazbyt mocno interesowały się wyścigami i zabawą. Podobnych wyborów dokonywano w innych krajach, skupiając się na owczarkach i terierach, które cechuje rozwinięty słuch i węch, przy czym w każdym kraju używano nieco innych ras: w Niemczech poza terierami airedale, najchętniej wykorzystuje się owczarki niemieckie, dobermany i rottweilery; z kolei we Francji są to briardy, beaucerony, owczarki alzackie lub belgijskie, a także rasa Bouviers des Flandres. [...]

Adaptacja koniowatych

W ludzkim pośpiechu rozpoczynania wojen konie zaciągnięte do kawalerii uczą się nowych zadań... maszerując na front, bez wcześniejszego szkolenia! Tymczasem wiele z nich to konie pociągowe lub ciężkie, które nigdy nie doświadczyły tego rodzaju wysiłku – na przykład Śpioch, przyzwyczajony do ciągnięcia wózka ogrodnika, który nagle musi nosić na grzbiecie kawalerzystę. Podobnie jak dzisiejsze konie, te z czasów wojny musiały zmienić rozkład masy ciała, unieruchomić barki i szyję, wskutek czego stały się mniej podatne na rozkazy i szybciej się męczyły. Ich zdrowie pogarsza się tak szybko i gwałtownie, że po stabilizacji frontu jesienią 1914 roku nowe konie, które przybywają na wojnę, zostają poddane ćwiczeniom mającym na celu przystosowanie ich fizjologii i uzyskanie lepszej wytrzymałości podczas kolejnych ofensyw, szczególnie w 1918 roku. To samo dotyczy koni z Ameryki, począwszy od pierwszych transportów pod koniec 1914 roku, ponieważ nie można wysłać ich bezpośrednio na front z powodu zmęczenia podróżą i niewiedzy na temat ich wcześniejszej pracy. U Brytyjczyków chodzą one codziennie tam i z powrotem po ścieżkach – przez cztery do pięciu tygodni, po czterdzieści na raz, pod nadzorem dwóch ludzi i jednego konia (samca lub samicy), który szybko staje się liderem. Następnie poddawane są szkoleniu odpowiadającemu ich przyszłej funkcji. „Tu-

taj znowu trzeba doliczyć przynajmniej sześć tygodni, a nawet więcej w wypadku koni kawaleryjskich, ponieważ w handlu końmi zdarza się wiele oszustw. Szkoleniu trzeba poświęcić wiele cierpliwości i troski. Co ciekawe, stwierdzono, że najlepszymi nauczycielami są same konie – te wyszkolone uczą nowicjuszy” – pisze dziennikarz Basil Clarke.

U Francuzów podobną adaptację przechodzą amerykańskie konie, które były wcześniej ujeżdżane lub zaprzęgane. Z kolei te mało oswojone czy wręcz dzikie szkoli się bardziej delikatnie, mimo to nadal przeżywają odnowiony lub skumulowany stres pierwszego mycia i różnego rodzaju ćwiczeń, które odczuwają jako fizyczną agresję i emocjonalny wstrząs, szczególnie kiedy muszą się przyzwyczaić do noszenia jeźdźca. Fotografie pokazują, że najpierw zmuszano je do noszenia siodła obciążonego workami z piaskiem, żeby stopniowo uczyły się akceptować kontakt fizyczny i ciężar. Krążyły tak wokół maneżu, z różną prędkością, trzymane na lonży przez człowieka; czuły, jak inny człowiek próbuje na nie wsiadać, a następnie regularnie wsiada i zsiada; widziały obok siebie wytresowane i osiodłane konie, które miały dawać im przykład i uspokajać swoją postawą... o ile te nowe, narowiste konie same nie wystraszyły ich swoim niewłaściwym zachowaniem! Muszą wreszcie nauczyć się równoważyć ciężar swojego ciała między przodem a tyłem, poprawnie trzymać głowę i szyję, słuchać rozkazów.

Równolegle konie i muły przeznaczone do zaprzęgów przechodzą szkolenia innego rodzaju. Wspomina się o tym w różnych krajach, a Ivan Cassagnau dokładnie notuje ich przebieg latem 1914 roku. Konie widzą nowych ludzi, czują nowe gesty, słyszą nowe głosy, a przede wszystkim – nowe słowa, ponieważ ich opiekunowie mówią dialektami różnych regionów, często innymi niż ten, którym posługiwał się ich właściciel. Muszą stopniowo przyzwyczaić się do nowego imienia, ponieważ stare zostało przez armię porzucone, nowe – oficjalne – nadaje oficer, w tym wypadku porucznik wertujący od A do Z słownik *Le Petit Larousse*, a imię faktyczne zostaje wybrane przez pierwszego opiekuna, który później przekazuje je kolejnym. Zwierzęta pracujące wcześniej samotnie muszą również nauczyć się życia i pra-

cy z innymi, a te przywykłe do pracy w grupie przyzwyczajają się do nowych partnerów. Dobiera się je w pary według kryteriów, które są im obce (maść, rozmiar, siła), podczas gdy to, co jest dla nich ważne (odczuwana sympatia), często zostaje przez ludzi zignorowane. Konie szybko zaczynają żywić do siebie nawzajem wrogie uczucia, rżą, gryzą, kopią, wierzgają. „Tak się czasem ze sobą ścinają, że trzeba je natychmiast rozdzielić. Kiedy 8 sierpnia na rozkaz kapitana zaprzęgamy baterię do próbnego marszu, wszyscy pękają ze śmiechu mimo powagi chwili. Trudno zliczyć zaplątane zaprzęgi, upadki, złamane dyszle i porwaną uprząż. Zapowiada się naprawdę obiecująco”.

Po zaprzężeniu, niezbyt dla nich wygodnym, ale znośnym, muszą przyzwyczać się do nowych zachowań: powoli uczą się odpowiadać na polecenia w tym samym czasie, ciągnąć z tą samą prędkością, zatrzymywać się w tym samym momencie, wspólnie skręcać itp. Najczęściej chodzą po dwa, cztery lub sześć, znosząc niedogodność zaprzęgu, a konie sprytniejsze, bardziej zmęczone lub gorzej przystosowane przenoszą część swojego obciążenia na inne, ograniczając wysiłek celowo lub z konieczności. Prowadzone pod koniec XIX wieku obliczenia wykazały, że wydajność jednostkowa, ustalona na 1 dla pojedynczego konia, spadała do 0,93 przy dwóch, 0,77 przy czterech i 0,63 przy sześciu. Spadek ten był szczególnie wyraźny w wypadku koni rekwirowanych często w pośpiechu, grupowanych w niejednorodnych zaprzęgach, o różnej budowie, umiejętnościach i w różnych sytuacjach, co dodatkowo wzmagały różne zdolności adaptacyjne, chociaż czas szkolenia pozwalał nieco zniwelować te różnice. We wszystkich krajach koniowate zaprzęgane są w rzędach po dwa, żeby ograniczyć spadek wydajności, który byłby większy, gdyby zaprzęg je w jednej linii, ale też po to, aby zaprzęg mógł przejść wąskimi drogami. Każde zwierzę uczy się korzystać z dynamiki tworzonej przez pozostałe, czuje się zarazem bezpośrednio i indywidualnie zachęcane przez konia idącego obok i przez woźniców. W wypadku długich i niezwykle ważnych zaprzęgów sześciokonnych, które ciągnęły armaty polowe i skrzynie z amunicją, często w każdym rzędzie znajduje się jeden jeździec, który prowadzi, zachęca i rozkazuje z bliska.

W rzeczywistości zwierzęta uczą się tylko niezbędnego minimum, z braku czasu w obliczu wojennych potrzeb, i tak naprawdę kształcą się na froncie, co nie wystarcza niemal dzikim koniom amerykańskim, tresowanym zbyt szybko i pobieżnie. W 1916 roku ten sam artylerzysta Cassagnau, uważny obserwator zwierząt, porównuje stare, zarekwirowane konie, które „prą niezmordowanie do przodu i tylko strzygą uszami”, gdy sygnalizują zmęczenie – do koni kanadyjskich i argentyńskich, świeżo przybyłych z portu, z którymi „mamy nie lada kłopot. Narowią się, nie reagują na ostrogi ani na bat”.

Równolegle trzeba szkolić żołnierzy, którym, ze względu na znaczną rotację kadr, daleko do dawnych jeźdźców. Jest to szczególnie widoczne w Wielkiej Brytanii, ponieważ większy niż gdzie indziej rozwój motoryzacji sprawił, że zrezygnowano tam w znacznej części z pracy koni, co oddaliło ludzi od tych zwierząt. Tak więc przyszli woźnice przechodzą kursy, jak ów górnik Rowland Luther, zakochany w koniach, choć ich nieznający, który zgłosił się na ochotnika w 1914 roku, żeby móc powozić – uczy się kierowania koniem, potem dwoma i trzema, uderzania batem ponad ich głowami tak, by ich nie zranić, oporzędzania niezwłocznie po pracy, karmienia i opieki nad nimi. Jednak te dobre chęci, praktykowane na tyłach, w warunkach frontowych często zostają zapomniane.

Tytuł oryginału: *Bêtes des tranchées. Des vécus oubliés*

Przekład: Barbara Brzezicka

Fotografia na okładce: Mark Raen, Camp Cody (Nowy Meksyk), 1917

© CNRS Éditions, Paris, 2013

© for the Polish edition by Wydawnictwo w Podwórku

Wydanie pierwsze, Gdańsk 2017

Cet ouvrage, publié dans le cadre du Programme d'aide à la publication BOY-ŻELEŃSKI, a bénéficié du soutien du Service de Coopération et d'Action Culturelle de l'Ambassade de France en Pologne. | Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Wydziału Kultury Ambasady Francji w Polsce w ramach Programu Wsparcia Wydawniczego BOY-ŻELEŃSKI.

Opracowanie książki i przygotowanie do druku – zespół wydawnictwa w składzie: Dorota Szmit, Stanisław Danecki

Wydawnictwo w Podwórku sp.j.

ul. Ludwika Waryńskiego 44 A/16, 80-242 Gdańsk

tel. 731 952 067, faks (58) 743 63 96

e-mail: wydawnictwo@wpodworku.pl

www.wpodworku.pl

ISBN 978-83-64134-13-5

Patronat

Animal Studies PL (Instytut Badań Literackich PAN) ■ Biblioteka Praw Zwierząt ■ CIWF Polska ■ Miesięcznik *Dziki Życie* ■ Wegarnia ■ Niespodziegadki

ISBN 978-83-64134-13-5



46 zł

Jedenaście milionów koniowatych, dwieście tysięcy gołębi, sto tysięcy psów – to szacunkowa liczba zwierząt, służących w czasie pierwszej wojny światowej w szeregach walczących armii. Wojna ta była pierwszym konfliktem zbrojnym, w którym zwierzęta na tak wielką skalę zaciągnano do wojska, aby służyły człowiekowi: ciągnąc, nosząc, pilnując, chroniąc, informując... W okopach znalazły się ponadto tysiące zwierząt gospodarskich i domowych, porzuconych przez uciekających cywilów. Były też dzikie zwierzęta, które utknęły na linii frontu, oraz szcury, muchy i wszy – zwabione okazją. Czasem przeganiane, ale najczęściej traktowane z sympatią, zwierzęta pomagały ludziom przeżyć w piekle wojny, uczeplić się życia, zając czas. Kombatanci wszystkich armii z wdzięcznością wspominali o swoich zwierzęcych towarzyszach broni, my jednak o nich zapomnieliśmy.

Nowa książka Érica Barataya przywraca pamięć o „czworonożnych żołnierzach” i wszystkich tych zwierzętach, które doświadczyły wojny. Autor proponuje przyjęcie ich punktu widzenia, abyśmy mogli lepiej odtworzyć ich doświadczenia, działania, emocje, ich współpracę lub opór, ich cierpienia i losy. Nie tylko po to, by lepiej zrozumieć postawy i odczucia żołnierzy.

Oto napisana na nowo historia pierwszej wojny światowej.